

Joanna Siedlecka: Dobra biografia musi ranić

– Uczciwość jest podstawą nie tylko dla biografów, dla każdej twórczości dziennikarskiej. Trzeba być zawsze uczciwym, nigdy nie pisać kłamstw. Ale to wymaga także odwagi i przede wszystkim dążenia do ukazania prawdy o człowieku – mówi Joanna Siedlecka, autorka książek biograficznych

Rozmawiała

Anita Czupryn

W jaki sposób generał Jaruzelski przyczynił się do rozwoju Pani kariery jako pisarki?

Oczywiście mówiłam o tym ironicznie. Generał przyczynił się w tym sensie, że zakończył dziennikarski etap mojej kariery. Gdyby nie stan wojenny, pewnie pracowałabym w redakcji, zwłaszcza, że wówczas od dwóch lat byłam wreszcie w wymarzonej tygodniku „Kultura”, w którym, przepraszam, chciałam dociągnąć do późnej starości. Tak że, w pewnym sensie miałam szansę zostać „reżimową” dziennikarką, choć nigdy oczywiście nie starałam się nią zostać. Zresztą, po ogłoszeniu stanu wojennego większość moich kolegów z „Kultury” została niezwyfikowana, więc chyba nie była to reżimowa redakcja, prawda? Partyjni koledzy rozwiązali podstawową organizację partyjną, która była w każdej redakcji i większość popierała Solidarność. Redakcję więc zamknięto; odbywały się straszne sceny. Na przykład nasze archiwum, bogate w stare roczniki, zdjęcia, zostało zniszczone. Część zbiorów próbowała ratować pani archiwistka, nie wszyscy jednak o tym wiedzieli, bo pewnie byśmy jej pomagali, tak że niewiele udało się uratować. Komisja, która przeprowadzała weryfikację uznała, że nie nadajemy się do zawodu dziennikarza. Mam to nawet na piśmie. Większość z nas w ogóle nie poszła na tę weryfikację, uznając ją za uwłaczającą. W końcu „Kultura” była znakomitym pismem, pracowali w niej wybitni autorzy, tacy jak Ja-

nusz Głowacki, Ryszard Kapuściński czy Teresa Torańska. Z jakiego powodu jacyś nieznani nikomu politycy stanu wojennego mieliby nas weryfikować? No, ale trzeba było wtedy coś ze sobą zrobić.

I co Pani zrobiła?

W prasie stanu wojennego pracować nie chciałam. Moi koledzy złośliwie zarzucają mi, że właśnie wtedy urodziłam dwoje dzieci. Uważałam jednak, że to jest bardzo dobry moment, żeby zostać w domu. Ale nie tylko utonęłam w domu i dzieciach, bo też pisałam książki, które zaczęłam pisać już wcześniej. Wówczas nastawiłam się już wyłącznie na książki.

I to na książki biograficzne. Skąd u pani zainteresowanie pisarzami, ich życiem? i pisaniem ich biografii?

To było nawet dość bezczelne z mojej strony, bo nie jestem polonistką, więc jakim prawem krzyczeli doktorze z IBL-u. Jakim prawem! To nasza działka!

Za to my, poloniści zaczytywaliśmy się w pani książkach.

To były moje prywatne zainteresowania. Nigdy nie miałam zamiaru studiować polonistyki, choć literatura zawsze mnie interesowała. Wydawało mi się, że większość polonistów, których znałam, nie znosił literatury. Chociażby ważne redaktorki z wydawnictw – jak potwornie niszczyły każdą książkę, nadając jej własny język, ingerując w tekst! Poprawiały go w taki sposób, który niszczył własny, oryginalny styl autora, jego odmiennosc. Dlatego też nie poszłam na polonistykę, która,

przepraszam bardzo, wydawała mi się krojeniem trupa. Odrzucało mnie czytanie literatury staro-cerkiewno-słowiańskiej, czy gramatyka opisowa. Tylko postanowiłam połączyć moje dziennikarskie doświadczenie, mój warsztat, zamiłowanie do rozmów, do podróży – z literaturą i pisać biografie.

Pierwszą biografię, którą Pani napisała, dotyczyła Gombrowicza. Dlaczego właśnie on?

Proszę pamiętać, że to był PRL i sama nie wiedziałam zbyt wiele o Gombrowiczu. Dziś często o tym zapominamy, bo jest on obecny w szkolnych lekturach, ale w moich czasach jego książki były trudno dostępne. Był pisarzem emigracyjnym związanym z „Kulturą” paryską Jerzego Giedroycia, co wystarczyło, aby go nie wydawać. W PRL był więc pisarzem zakazanym. Ale był już zbyt wielki, więc nie mogli zakazać go do końca., ponieważ debiutował już przed wojną, więc były jego opowiadania i „Ferydurke”. Część dzieł wydano po Październiku, po odwilży. Natomiast najważniejszej z jego książek, „Dziennika” i tych późniejszych, nie było. Zawsze interesowałam się Gombrowiczem, owocem zakazanym. Chciałam wiedzieć dlaczego jest zakazany? Dlaczego mamy go nie czytać, tylko Bratnego i Putramenta. Wynikało to z mojej ciekawości; chciałam czegoś się o nim dowiedzieć. To po pierwsze. A po drugie, pojechałam do Paryża z wycieczką Almaturu. Pracowałam już w tym czasie w redakcji „Kultury”. I wtedy odwiedziłam Księgarnię Polską w Paryżu, która nadal istnieje, ale obecnie wszystkie książki są również dostępne w Polsce. Gdy byłam tam po raz pierwszy, nie

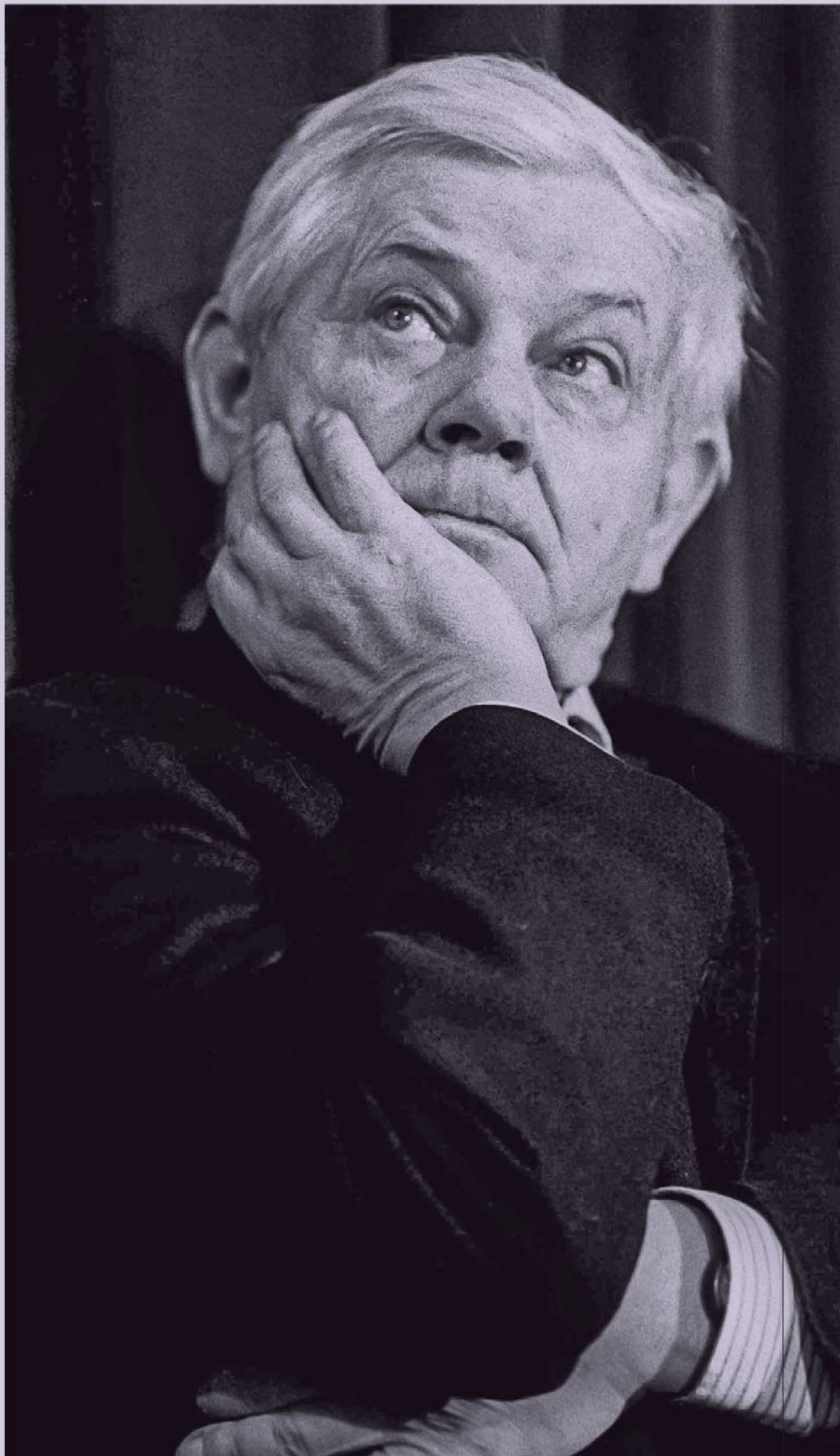
umawiając się, w księgarni zjawiała się prawie cała nasza almaturowska wycieczka. Mieli tam książki u nas niedostępne. Gombrowicza, Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego, Sołżenicyna. Wiedząc, że Polacy są bez grosza, dawali dwie książki za darmo. A zwłaszcza młodym.

Wspaniały zwyczaj!

Tak, to było wyjątkowe, bo już nie pamiętamy, że wyjeżdżający Polacy mieli wówczas prawo do kupna 5 dolarów. Od razu poprosiłam o „Dzienniki” Gombrowicza. Dostałam trzy tomy. Potem przysłałam jeszcze raz, choć patrzono na mnie trochę krzywo, że znowu przychodzę. Ale wiedzieli, że jestem zainteresowana, bo spędzałam tam godziny. Muszę przyznać, że bałam się przywieźć otrzymane książki do Polski, bo były zakazane. Znałam kolegów, których złapano na granicy z książkami „Kultury” paryskiej. Tym bardziej, że miały dość charakterystyczne okładki, jakby specjalnie przygotowane dla naszych celników. Muszę się przyznać - stchórzyłam. Zostałam te książki.

Naprawdę?!

Niestety. Zostałam je w Paryżu, na ławce w parku. Później bardzo tego żałowałam i sama sobie postawiłam zadanie, że muszę to nadrobić. Wróciłam do Polski i napisałam pierwszy tekst. Zapamiętałam słowa Gombrowicza: „Urodziłem się w Małoszycach w roku 1904...”. I znalazłam na mapie te Małoszyce, niedaleko Sandomierza, i pojechałam tam. Okazało się, że to było jego rodzinne gniazdo - resztki dworu, ludzie, którzy pamiętali jego rodziców, rodzeństwo. To była pierwsza podróż do jego korzeni, która pociągnęła za sobą kolejne odkrycia. Miejscowi, z którymi rozmawiałam, byli pracownicy, lokaje, służący, kucharki, pytali: „Czy była pani w Bodzechowie”? Dlaczego w Bodzechowie? Odpowiadali: „Bo tam nadal znajduje się dwór Kotkowski, rodziny jego matki, zbezczeszczony wtedy na PGR”. Z dworu matki skierowano mnie do jej rodziny, która wciąż żyła. I tak powstawała ta książka, choć nie przewidywałam, że tak się stanie. Publikowałam w „Kulturze”, ale już wtedy te reportaże wzbudzały duże zainteresowanie. Dostawałam masę listów, bo mało kto



„Pan od poezji” to opowieść o Zbigniewie Herbercie

w ogóle wtedy pisał o Gombrowiczu, a zwłaszcza o człowieku, o jego rodzinie, pochodzeniu. Było to coś absolutnie nowego.

Przecierała Pani szlaki w tropieniu biografii „Jaśnie panicza”.

Pierwsze wydanie wyszło jeszcze w PRL-u. Zmieniono mi tytuł na „Jaśniepanicz”, napisane razem, niby to prześmiewczo, ale w istocie krytycznie, bo „jaśniepaństwo” pisała „Trybuna Ludu”. Mało nie padłam z wrażenia, gdy to zobaczyłam, nikt tego ze mną nie uzgadniał. Chociaż miałam dobre stosunki z wydawnictwem. Nie będę skromna, ale uważam się za jedną z pierwszych osób, która przecierała szlaki i tworzyła naszą biografię reporterską. Teraz mamy ich wiele; na szczęście jest kilka osób, które były moimi uczniami, bo później wykładałam w Szkole Dziennikarskiej im. Wańkowicza. Ale naprawdę byłam pierwsza. Owszem, były biografie, ale skupiały się głównie na twórczości pisarza, na interpretacjach i tłumaczeniu jego dzieł, a mnie to nie interesowało. Interesowało mnie jego życie. Prawdziwe, nieskłamane.

Nie sposób oderwać się od pani książek, podobnie jak teraz od pani opowieści. Jakie były największe wyzwania, z jakimi pani się spotkała podczas rozmów ze świadkami? Jak radziła sobie w sytuacjach, gdy odmawiali?

Oczywiście, przy pracy nad każdą książką zawsze są osoby, które zgadzają się na udział, ponieważ to książka o wielkim pisarzu i większość chciała się pochwalić, że go znała. Ale bardzo często ważni świadkowie odmawiali. Przy Gombrowiczu była to Rita Gombrowicz, wdowa po pisarzu. Przy Herbercie - wdowa Katarzyna Herbert. Przy Witkacym - jego wielki przyjaciel, profesor Leszczyński również odmówił. Co wtedy? Po pierwsze, zawsze staram się powtórzyć prośbę. Czasami ludzie mają gorsze okresy i po pewnym czasie godzą się na rozmowę. Ale gdy odmawiały wdowy, to muszę powiedzieć, że w głębi serca bardzo się z tego cieszyłam. Byłam wolna. Wdowy zawsze się wtrącają, chcą mieć kontrolę nad wszystkim. Mogłam pisać to, o czym chciałam, bez ich nadzoru i bez potrzeby uzgadniania z nimi. Ale rozumiałam to, bo w końcu, rolę



„Czarny ptasior” o Jerzym Kosińskim odbił się szerokim echem na świecie

wdów jest wystawienie mężowi pomnika, ubrać go go.

A pani te pomniki odbrażowała.

Rozumiem, że strzegły niewygodnych faktów i tajemnic. Ja również nie chciałabym, żeby po mojej śmierci moi synowie sprzedawali rodzinne nasze rodzinne sekrety. Każda rodzina ma swoje; ma trupa w szafie.

Jaką rolę pełni uczciwość w pisaniu biografii? Czy istnieje granica między ujawnieniem prawdy a szacunkiem dla prywatności i innych czynników?

Uczciwość jest podstawą nie tylko dla biografów, ale dla każdej twórczości dziennikarskiej. Kłamstwo zawsze wychodzi na jaw. Pisanie wymaga odwagi i przede wszystkim dążenia do ukazania prawdy o człowieku. Nigdy nie osiągniemy pełnej prawdy, ale staramy się do niej zbliżyć. Często, musimy zranić kogoś, bo dobra biografia, niestety, często rani rodziny, bliskich. Ale nie piszemy dla rodzin. Choć niestety, wielu naszych biogra-

fów jest na pasku rodziny, jak mówił Boy-Żeleński; korzysta z ich, materiałów, wszystko z nimi uzgadnia. Zwykle patrzę na nazwisko biografy, jeżeli wiem, że jest z kręgu rodziny lub najbliższych przyjaciół, to tej biografii nie czytam. Tam nie będzie nic odkrywczego ani nowego. Biograf musi być niezależny; bycie niezależnym jest bardzo trudne. Na przykład Domostawski w biografii Kapuścińskiego wybrał prawdę o nim zadowolenie wdowy. I tak powinno być, ale na ogół niestety tak nie jest. To jest bardzo trudne, ale jednocześnie pisanie prawdy jest pasjonujące: odkrywanie tego, co nasz bohater ukrywał, czego mieliśmy się nie dowiedzieć. Często są to jego rany. Ale robimy to nie dla taniego poklasku czy sensacji. Lecz aby naprawdę go pokazać. Tak było w przypadku Herberta; jego doświadczenia związane z przynależnością do AK i przeszłością rodziny.

Co kierowało panią przy wyborze bohaterów biografii? Gombrowicz, Kosiński, Witkacy, Herbert -

za każdym razem był inny powód, dla którego pani się nimi zainteresowała?

Kierowałam się przede wszystkim moimi prywatnymi zainteresowaniami. Są tacy, których w ogóle nie czytam, a są tacy, którzy bardzo mnie interesują. Żartuję, że mam dla nich ochotę wstać rano, żeby złapać poranny pociąg, bo często jeździłam pociągami. Dla pewnych osób nie miałabym ochoty wyjść z łóżka, a dla innych tak, bardzo. Interesuje mnie też zakłamany obraz mojego bohatera. Tak było z Kosińskim. Czułam, że jest coś, co ukrywał. Herbert z kolei wydawał mi się zbyt zabalzamowany, okadzany wielkimi słowami. A mnie interesował człowiek, o którym nic nie wiedzieliśmy. Nie ukrywam, że zawsze interesują mnie osobiste sprawy pisarzy. Na przykład, dlaczego poeci, zanudzają nas wierszami przeważnie o miłości, a Herbert nie. Może napisał ze dwa, trzy wiersze. Chciałam się dowiedzieć, dlaczego? Jestem też wyczulona na fałsz, zakłamanie, werniks. Mam ochotę zdzierać go, dotrzeć do prawdy. Herbert był przewrotnym człowiekiem. Kiedy zaczęłam kręcić się wokół niego, jeszcze za jego życia, proszę sobie wyobrazić, zadzwonił do mnie. Najpierw jakieś komplementy a w końcu wypalił: „Dość już tego pani Joanno, kawę na ławę, czy się pani do mnie dobiera?” Zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

I co pani odpowiedziała?

Przebiegło mi przez głowę, że jeśli powiem „nie”, to pomyśli sobie: „Aha, jestem niewystarczająco interesujący”. Więc powiedziałam, że tak, oczywiście, jest pan wielkim poetą i trudno, żebym się panem nie zajmowała. Zawsze też szukam świadków, ale nie tych, których nazywam zawodowymi. Takimi, którzy się zajmują moim bohaterem, piszą doktoraty; oni najbardziej przeszkadzają, bo uważają ich za swoją własność. Wolę relacje kolegów ze szkoły, przyjaciółek czy pierwszej miłości. Szukam świadków drugiego planu, którzy okazują się często pierwszym, najważniejszym planem. Ponieważ przy kolegach pisarzach moi bohaterowie wybierali barwy ochronne, nie zwierzali się, ukrywali wiele rzeczy. Wybieram tych, przy których byli prawdziwi.

Jakie znaczenie mają miejsca związane z pani bohaterami?

Moja praca składa się z dwóch etapów. Najpierw zastanawiam się, czy w ogóle jestem w stanie o nim napisać, czyli dotrzeć do jego przyjaciół, do jego kręgu, czy znam kogoś z jego świata. Jeżeli nie, to rezygnuję, ponieważ tego tematu nie uniosę. A ja muszę mieć i zdobyć materiał, mięso, budulec. To jest najważniejsze. Ten etap zbierania materiału i zdobywania lubiłam i lubię. Często miałam za dużo materiału. Natomiast nie lubię pisania. Pociężyłam się, gdy przeczytałam, że prawdziwy pisarz to ten, kto pisze z niechęcią, a grafoman pisze z przyjemnością.

Mam podobnie jak pani. Uwielbiam zbieranie materiału!

Ja też. Czasami rozmówcy są wspaniali. A pisanie to znój, klęczenie na kolanach. Tomasz Mann powiedział, że do tego jeszcze z podniesionymi rękami. Niestety, ale trzeba to zrobić.

Jakie są pani najważniejsze wnioski związane z demaskowaniem naszych wielkich?

Nie używałabym słowa „demaskowanie”, brzmi dość nieprzyjemnie. Wcale mi na tym nie zależy. Chodzi mi o ujawnianie prawdy. A prawda, niestety, często jest szokująca i przykra. Prawda to groza. Słabości, które ujawniam, zbliżają mnie do moich bohaterów. Herbert, który nie walczył w AK, bo był kulawy, ale twierdził, że był akowcem, jest mi nawet bliższy, bardziej ludzki. Kłamał, bo chciał być wśród tych lepszych, których podziwiał.

Zawsze ma pani takie wyrozumienie dla tych, o których pisze?

Nie. Być może jest to bardziej widoczne w przypadku Kosińskiego. Jego kłamstwo było dla mnie trudne do zrozumienia. Kłamał, a został ura-

towany przez skromnych, odważnych ludzi z polskiej prowincji. Udawał ofiarę, bitą, torturowaną. Ale moją rolą nie jest potępienie czy karanie kogoś, tylko pokazanie jak było. Tak się staram. Choć nie wiem, jak to wychodzi.

Moim zdaniem, wychodzi fantastycznie! Jakie są dla pani najbardziej zaskakujące momenty podczas zbierania materiałów?

Moja praca, czyli podróż, bo tak nazywam zbieranie materiału - zawsze przynosi owoce.

Wystarczy zrobić pierwszy krok?

Jeśli naprawdę zagłębimy się w temat, zawsze się nam odwdzięczy. Jest takie powiedzenie w Biblii: „Kto szuka, ten znajduje”. A ja szukam, wiem znajduję. Jest wielu biografów, których czytam, ale mało szukają. Obracają się tylko wokół oficjalnego kręgu swoich bohaterów i tutaj nic nie wyjdzie. U mnie natomiast zaskoczenie jest zawsze, jeżeli wkroczy się głęboko w życie bohatera i poświęci się mu dużo czasu. Zaskoczeniem było na przykład, kiedy pojechałam na wieś i dotarłam do świadków Kosińskiego, którzy zburzyli podawany przez niego obraz jego wojennego dzieciństwa. A przecież ten obraz dręczonego chłopca wpływał również na ocenę Polski, również na postrzeganie jako miejsca ponurych i okrutnych antysemitów. Odkryłam zupełnie inny obraz, zburzyłam ten, w który wierzył świat.

Zburzyła pani uświęconą, oficjalną wersję.

Tak; właśnie tak. I mocno za to dostałam. Dziś nazywa się to hejtem, ale wtedy to była nagonka, używano takich słów jak nikczemność. Jak śmiałam! Nikt jednak tam nie pojechał. Zawstydił wszystkich dopiero amerykański biograf Kosińskiego, który pisał o nim i dotarł do Polski. Nie skon-

„Nie jestem polonistką, ale literatura mnie interesowała. Wydawało mi się, że poloniści, których znałam, nie darzyli literatury sympatią.”



„Mahatma Witkac” to pasjonująca opowieść o barwnym życiu Stanisława Ignacego Witkiewicza

taktował się ze mną, ale podążył moimi śladami. Napisał później w „New Yorkerze”, najbardziej prestiżowym amerykańskim piśmie, że Joanna Siedlecka, polska dziennikarka, pokazała prawdę - Kosiński był nie tylko ofiarą, ale też ocalonym z Holokaustu, do czego nigdy się nie przyznał. Rzeczywiście łągał wyjątkowo bezwstydnie także podczas pobytu w Polsce, choć przecież mógł wiedzieć, że żyją ludzie, na przykład rodzina Warchołów, którzy ukrywali przez parę lat Kosińskich. Ci prości chłopcy ryzykowali swoim życiem i życiem swoich dzieci, które były jeszcze mniejsze niż mały Kosiński.

Czy jest ktoś, o kim pani bardzo chciałaby napisać w przyszłości?

Dlaczego w przyszłości? Jak najszybciej! W mojej pracy miewam różne okresy. Żartuję, że jak Picasso, który miał okres różowy, potem niebieski, ja też jakiś czas pisałam biografię, a potem zabrałam się za coś innego. Ponieważ

po 1989 roku, w wolnej Polsce otworzyły się archiwa i chciałam wiedzieć, jak Służba Bezpieczeństwa w czasach totalitarnych wpływała na świat literacki. To był mój kolejny okres; napisałam o tym kilka książek, jak „Obława. Losy pisarzy represjonowanych”, „Kryptonim liryka”. Interesowali mnie nie tylko pisarze represjonowani, ale także ci, którzy w tym pomagali, tajni współpracownicy. Narobiłam sobie tym mnóstwo wrogów, bo środowisko pisarskie było przeciwne, jak zresztą wszystkie, wobec lustracji. Chociaż dotyczy ona polityki, w literaturze chodzi o wiedzę o tym, kto był kim. Ale ten okres też już zakończyłam, napisałam trzy książki, i dosyć. Wracam do pisania biografii. Tym razem będzie to kobieta, więcej nie zdradzę. Podjęłam już początkowe przygotowania.

Czy ma pani przesłanie, które chciałaby przekazać czytelnikom?

Przesłanie?! Kojarzy mi się z czymś zbyt wygórowanym i z wysokim C. Przesłań nikt nie słucha i nie bierze

pod uwagę. Na przesłania mógł sobie pozwolić Piłsudski czy papież, ale kto inny? Mówili jasno i zwięźle. Moim jedynym celem jest napisanie dobrej książki. A to już samo w sobie znaczy bardzo wiele.

Joanna Siedlecka

Reportażystka, autorka biografii. W latach 1975–1981 pracowała w „itd”, następnie w „Kulturze”. Po 13 grudnia 1981 roku skupiła się głównie na pisaniu biografii. Wykładała w Wyższej Szkole Dziennikarskiej im. Melchiora Wańkowicza w Warszawie. Członkini Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Stowarzyszenia Wolnego Słowa.

